

# Stanisław Dąbrowski

---

## Edytorstwo - tekstologia - nauka o literaturze

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 71/3, 385-406

---

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

nego. Trzecim modelem był model literatury ludycznej związany z różnymi obiegiem, najczęściej trywialnym i brukowym. Teksty należące do tego modelu, służące przede wszystkim rozrywce, zaspokajały te potrzeby czytelnicze, które dziś określa się mianem „masowych”.

„Społeczny obieg tekstów, realizujących w postaci wiernej lub hybrydycznej cechy modelowe różnicuje kręgi publiczności właściwe danej kulturze literackiej i społeczne funkcje struktur modelowych dzieł. Tak zróżnicowane społeczne obiegi literackie pozostają ze sobą w dynamicznych związkach konkurencji wzajemnego spychania się na margines życia społecznego, rzadko zaś współistnieją neutralnie obok siebie”<sup>2</sup>.

Nie mogąc dać w tym miejscu szczegółowego streszczenia studium *Główne tendencje rozwoju polskiej kultury literackiej 1918—1939* zwrócimy uwagę na sprawy najogólniejsze.

Kategorie modeli, obiegów, sytuacji komunikacyjnych to semiotyczne szablony utworzone przez Żółkiewskiego po to, by opisać całą wielość społecznie i kulturalnie nietożsamyh praktyk, produktów i zjawisk powstałych w żywej i rzeczywistej wymianie tekstów literackich lat 1918—1932. Szablony te zdają sprawę przede wszystkim z tego, że tylko pozornie kultura literacka jest jedna, że jest ona w istocie zróżnicowana. Ponadto opisują tendencje istniejące w zakresie podejmowanych przez pisarzy decyzji, stosowanych kodów i schematów pisania, a także w zakresie wyborów podejmowanych przez czytelników co do kodów i schematów czytania. To w ramach tych „systemopodobnych” tendencji ścierają się znaczenia i jakości funkcjonalne wszystkich konkretnych dokonań pisarzy, czytelników i użytkowników literatury, a co za tym idzie, kształtują się zarówno warunki dynamiki, jak i uogólnione właściwości konkretnej kultury literackiej.

Fakt, że koncepcja Żółkiewskiego nie pozwala traktować pisarskich, odbiorczych i innych odnoszących się do literatury praktyk i zjawisk jednocześnie funkcjonujących w konkretnej kulturze jako wielości szeregowej, należy uznać za jej największe *novum*. Wydaje się, że nie tylko ta główna idea, lecz i inne, mniej zasadnicze, przeniknęły już do wielu prac socjologiczno-literackich. Czas, by przeniknęły one także do innych działów literaturoznawstwa, zwłaszcza zaś historii literatury. Stworzona przez Żółkiewskiego wiedza o kulturze literackiej przekształciła przedmiot współcześnie praktykowanej socjologii literatury. A czyż nie przekształca przedmiotu tej wiedzy, którą przyjęliśmy nazywać „literaturoznawstwem”?

Ewa Szary-Matywiecka

## EDYTORSTWO — TEKSTOLOGIA — NAUKA O LITERATURZE

### 1. Wyjaśnienia i uwagi wstępne

Wyjaśnienia wstępne są jeśli nie odejściem od przedmiotu (*digressio*), to w każdym razie — opóźnieniem zbliżenia się do przedmiotu. Wszelkie dygresje winny być uzasadnione: pośrednio lub wprost (JT 141)<sup>1</sup>. Czy dygresja uzasadnia-

<sup>2</sup> S. Żółkiewski, *Kultura literacka (1918—1932)*. Wrocław 1973, s. 413—414.

<sup>1</sup> Tym skrótem odsyłam do: J. Trzynałowski, *Edytorstwo. Tekst, język, opracowanie*. Warszawa 1978 (wyd. 1: 1976). Poza tym posłużyłem się tu następującymi skrótami: FT = F. Trzaska, *Podstawy techniki wydawniczej*.

jąca — także? Wypowiedź moja, jako typ komentarza, problematykę ma wyznaczoną przez zawartości i jakości omawianych dzieł. Ale przecież i ten komentarz (a nawet sam fakt decyzji komentowania) rodzi własną problematykę, zasługującą na osobne scharakteryzowanie. Komentatora — niby starożytnego gramatyka — nadal obowiązują jednocześnie: *lectio, enarratio, emendatio, iudicium*. *Lectio*: bo czytać powinien (jak kolacjonujący tekstolog) słowo po słowie, wiersz po wierszu, z nakładem uwagi i staranności, aż się stanie od pewnej chwili „żywym tomem” z biblioteki Hicellusa. *Enarratio*: wyłożenie rzeczy, ale w taki już sposób, by z niego wynikały korekta i osąd, razem z nim stanowiące komentarz. Wypełnianie tych obowiązków zasługuje na określenie wyzbyte upiększeń: robota. Powinna ona być życzliwa, ale czyż można okazać dziełom większą życzliwość niż poświęcając im wiele pracy?<sup>2</sup>

Sposobnością do powstania tej wypowiedzi stało się opublikowanie *Edytorstwa* Jana Trzynałdowskiego, ale publikacja ta nie będzie ani jedynym, ani nawet głównym obiektem komentarza. Komentarz do tej książki czasem się wyłoni i wyodrębni, ale często (częściej?) niesiony będzie przez „nurty podpowierzchniowe” mojej wypowiedzi. Prace innych autorów dobrałem w ten sposób, aby: 1) nie uprawiać polemiki z minionym, 2) stworzyć możliwość wglądu w światy o odmiennej strukturze. Nie przeobrazi się jednak to dobieranie w systematyczną prezentację wszystkich stanowisk i poglądów, chociaż — w moim przekonaniu — wystarczająco uchyla furtkę do rozważań. Nie można bowiem w komentarzu uwzględnić „wszystkich” ani nie można napisać komentarza „dla wszystkich”<sup>3</sup>. Jednoczesna niemal, gdyż „docelowa”, a w jednoczesności — siłą rzeczy już porównująca, lektura kilku opracowań zmusiła mnie do rewizji dotychczasowych opinii własnych o każdym z nich. Doświadczenie to ostrzegawczo przypomina o ograniczeniach naszej każdorazowej opinii w każdej sprawie, ale też ukazuje stałą możliwość ulepszenia tej opinii, bez przymusowości posępnego stanu *opinionis ne varietur*. Dokładna lektura książek pozwala (od pewnego momentu), na zabieg, który leksykografowie nazywają „krzyżowym sprawdzaniem informacji”. „Linearny” rozrzut tekstowy zagadnień, powtarzających się w różnych książkach, zostaje zastąpiony ich jakby tabelaryzacją, co pozwala na sprawdzenie stosunku wzajemnego różnych ujęć i propozycji, w odniesieniu do których omawiający zajmuje pozycję zewnętrzną, badawczą (jego pozycją wewnętrzną jest samo omówienie).

Mógł Krasicki napisać: „Kiedym ganił, tailem ganionych nazwiska”. Ja nie piszę satyry, więc nie mam powodu do stosowania taktyki i praktyki zatajeń. I nie powinienem, jeśli chcę zasługiwać na zaufanie. W komentarzu do koncepcji tekstologicznych, tak samo jak w komentarzu do *Pana Tadeusza*: „należy [...] szczegóły sprzeczne oświetlać jako sprzeczne i nie dążyć do sztucznego narzucania [...] konsekwencji” (KG 284), kto zaś przemilcza niezrozumiałości, ten „dopuszcza

Warszawa 1967. — GT = G. Talar, *Edytorstwo a nauka o książce*. „Studia o Książce” t. 5 (1975). — JS = J. Starnawski, *Praca wydawcy*. Kraków 1973. — KG = K. Górski, *Tekstologia i edytorstwo dzieł literackich*. Warszawa 1975. — LM = L. Marszałek, *Edytorstwo publikacji naukowych. Zarys problematyki. (Materiały szkoleniowe)*. Warszawa 1974. — P = *Problemy edytorstwa. Materiały seminarium zorganizowanego przez PWN w październiku 1970 roku*. Warszawa 1971. — T = *Tekstologia w krajach słowiańskich. Zbiór referatów [...] Komisji Edytorsko-Tekstologicznej V Międzynarodowego Kongresu Słowistów*. Wrocław 1963. — ZG = Z. Goliński, *Edytorstwo—tekstologia. Przekroje*. Wrocław 1969.

<sup>2</sup> Zob. KG 102, 105, 163, 273, 285. — FT 10.

<sup>3</sup> JT 55, 97, 135. — KG 91, 273. — ZG 6, 25—26

się właściwie blagi. Milcząc, sugeruje przecież zrozumiałość" (KG 274). Krytyk jest m. in. od „stawiania kropek nad i”, a także od wykrywania (powiedzmy to słowami Irzykowskiego) „formy ujemnej”. Obowiązuje go rola pryncypialnego oponenta, a pomawiają go, że jest „prokuratorem potwornym”. Zresztą zdarzają się i zaskoczenia: czyż Mieczysław Darowski przewidywał, że edycja *Konrada Walenroda*, którą z pietyzmu dla poety sporządził, nazwana zostanie korsarską?<sup>4</sup>

Wydawałoby się, że krytyka — wobec dzieła bardziej zewnętrzna niż jego indeks — jak on „ani nie zmienia zawartości dzieła, ani jej nie modyfikuje, jest tylko narzędziem ułatwiającym poruszanie się po tekście” (JT 121). A przecież nie jest neutralna: nie modyfikując zawartości dzieła, modyfikuje sposób jego społecznego istnienia, sprawia, że dzieło występuje już jako skrytykowane. Każde dzieło, które miało wielu krytyków, to wszak *opus cum notis variorum*.

Metoda obrona w niniejszej wypowiedzi zbliżona jest do metody dyskursywnej w rozumieniu Trzynadłowskiego (JT 122). Ale pora już na uwagi porównawcze. Jeśli uznać, że broszura Jerzego Starnawskiego rzeczowo określa swą zawartość tytułem *Praca wydawcy*, to książkę Jana Trzynadłowskiego trzeba w sporej mierze uznać za dokształcającą w zakresie teorii wydawcę, którego zadaniom praktycznym poświęcono zwięzłe podrozdziały, jakby syntetyczne konspekty do wykładu takiego, jakiego dokonuje cała *Tekstologia* Górskiego; za zwięzły konspekt *Tekstologii* (jeśli uwzględnić i *Sztukę edytorską*) mogłaby uchodzić także praca Starnawskiego (zob. JS 29, przypis 27).

Ale podręcznik Górskiego to podręcznik dla edytora naukowego i tekstologa, a nie dla wydawcy; rozwija zagadnienia teorii i praktyki edytorstwa; gruntownie i obszernie skupia się na edytorstwie „literatury pięknej”, a zatem w książce Trzynadłowskiego uzyskał swe zakresowe dopełnienie, gdyż zajęto się w niej problematyką (także wydawniczą) „paraliteratury”. Dla tego, kto — jak np. Stefania Skwarczyńska — przyjmuje szeroką koncepcję literatury, dopiero te dwie, razem wzięte książki obejmują refleksją edytorską całość pola wyznaczonego przez przedmiot wiedzy o literaturze, acz rodzaj tej refleksji w obu książkach jest bardzo odmienny. W każdej z tych książek stosunek między charakterem tekstu a jego przeznaczeniem jest jakby paradoksalny, gdyż praca Górskiego, o charakterze przede wszystkim metodyczno-praktycznym, nasycona konkretem przykładów, przeznaczona została dla edytora naukowego, a praca Trzynadłowskiego, przeznaczona dla redaktora wydawniczego, ma charakter przede wszystkim teoretyczno-koncepcyjny. Różnicę (by nie powiedzieć: rozbieżność) nastawień Górskiego i Trzynadłowskiego widać szczególnie wyraźnie tam, gdzie obaj omawiają ten sam — zdawałoby się — problem (poświęcając mu cały podrozdział), np. problem listu: Górski mówi o liście (listach) głównie jako tekstolog i edytor naukowy (KG 133—138), Trzynadłowski — jako genolog (JT 44—46). Jest tak, jakby *Tekstologia* ogarniała i syntetyzowała pewien etap refleksji tekstologicznej, utrwalając jego charakter i styl, a *Edytorstwo* usiłowało, przez zmianę charakteru i stylu refleksji, zapoczątkować jej etap kolejny. Górski mówi, że „nowe generacje zupełnie innych rzeczy szukają” (KG 276) i że „poznajemy ludzi innego pokolenia po sposobie ich wyrażania się” (KG 154), a własny jego wykład bywa w długich nieraz partiach opowiadający, gawędowy, anegdotyczny (np. w ten sposób wprowadzone bywają historycznoliterackie *exempla* unaoczniające edytorski problem). Zbigniew Goliński ostro mówi o przyspieszonym starzeniu się myśli naukowej (w naukach historycznych) (ZG 26), a u Górskiego ma to odpowiednik w przyznaniu, że rozwiązanie, które dawniej podawano jako wzorowe, teraz podawane bywa jako ostrzegawczy przykład błędu (KG 5). Znamię tożsamości podmiotowej wyraźniej

<sup>4</sup> Zob. JS 7, 17. — P 138. — K. Irzykowski, *Walka o treść. Beniaminek*. W: *Pisma*. Pod redakcją A. L. L. a m. a. Kraków 1976, s. 133.

widac po zestawieniu *Sztuki edytorskiej* i *Tekstologii*. Tę drugą książkę Górski traktuje jako następny etap własnej refleksji naukowej; tymczasem, gdyby spojrzeć choćby z pozycji krytycznych Golińskiego (postulaty logicznej i metodologicznej poprawności), różnica między obu książkami byłaby minimalna, może żadna.

Wspomniane wyżej uzupełnianie się zakresowe *Tekstologii* i *Edytorstwa* trochę przypomina też sytuację z lat dwudziestych, kiedy to uzupełniały się teoretycznie dwie rozprawy na temat zasad edytorskich: rozprawa Wilhelma Bruchnalskiego o kanonie wydawniczym *Dzieł wszystkich* Mickiewicza i rozprawa Juliusza Kleina o metodach wydania *Dzieł wszystkich* Słowackiego (KG 206). Książka Trzynadlowskiego ma nieporównanie mniej instrukcyjny, techniczno-praktyczny, wyjaśniający (rola przykładów!) charakter niż książka Górskiego, i to nawet w tych rozdziałach, które są sprawom techniczno-praktycznym poświęcone. Oczywiście, można by powiedzieć, że Trzynadlowski liczy się z istnieniem i obiegiem odbiorczym wielu — teoretycznych i „instrukcyjnych”, podręcznikowych i szkolnych — opracowań, odmiennych od jego własnego, i że nawet tę własną odmienność uznaje za możliwą dzięki ich istnieniu. Pomiedzy dwoma tymi podręcznikami mieszczą się chronologicznie (gdyby książki Górskiego uznać jednak za dwie mutacje tej samej wypowiedzi naukowej) i logicznie *Przekroje* Zbigniewa Golińskiego, które są ostrym wyrazem metodologicznego zniecierpliwienia wobec utartego zwyczaju roboty „wedle starych kwitacji” (KG 72)<sup>5</sup>. Książka Trzynadlowskiego zniecierpliwienie to uwzględnia, merytorycznie je podziela (acz osobno go nie wyraża) i jest już próbą zmiany owego *status quo ante*: nie jest „nowym opracowaniem tej samej tematyki” (KG 5), chociaż w wyliczeniu odmian rękopisów i druków, w wyliczeniu hierarchii „podstaw wydania”, w typologii działań edytorskich i wyników tych działań itp., referuje treści mocno utrwalone w tradycji edytorskiej i dobrze znane. Zresztą wobec zupełnego zamaskowania — przez brak przypisów — wszystkich źródeł informacji oraz inspiracji koncepcyjnych trzeba by na tę książkę spojrzeć (bodaj na gruncie polskim) porównawczo, przez pryzmat różnych koncepcji edytorskich (Górski, Pigoń, Pollak, Zgorzelski i inni), wydobytych — także — z praktyki edytorskiej uczonych, i w taki sposób umiejscowić *Edytorstwo* na mapie pol-

---

<sup>5</sup> Nie jest jednak bezpieczne — narzekać na cudze galimatiasy i jałowizny, bo wtedy nam się inni przyjrzą tym bacniej (i sam o tym pamiętam): Goliński potężnie przesadza, twierdząc, że dziennikarsko-reklamowe nadużycia „nie są bez znaczenia dla kształtowania się” samej dyscypliny edytorskiej i że „zwroty z zakresu edytorstwa w języku sprawozdań z piłki nożnej” mają stanowić bodziec do refleksji nad tekstologią (ZG 6, 28—29). Wywód Golińskiego też nie jest bezbłędny (i będzie to omówione szerzej). Czytamy np.: „Pojęcie to [tj. krytyka tekstu] zbudowane zostało równoległe do terminu „krytyka literacka” (ZG 31). Przecież ten typ błędów tropił Goliński u Górskiego i Wyki (nieodróżnianie pojęcia od odpowiadającej mu nazwy). Goliński używa wymiennie (a niepoprawnie) słów „zjawiska” — „cele” (ZG 53), „funkcje” — „zadania” (ZG 97); mówi o recepcji tekstu (ZG 53) zamiast: recepcji dzieła; posługuje się ryzykownym raczej określeniem teoretycznoliterackim „struktura artystyczno-ideowa” (ZG 53); bez zastrzeżeń referuje, że Wyka i Górski rozumieją dzieło literackie jako docelową strukturę i niezmienny kształt artystyczny (ZG 92), acz rozwinięcie krytyki takiego określnika mogłoby zająć całą stronicę. Słusznie utrzymuje, że w stosowaniu do arcydzieł kryterium waloru artystycznego tkwi błąd *petitionis principii*, gdyż to one ustanawiają ważną społecznie normę artystyczną (ZG 83); przeocza jednak, że racja czysto logiczna nie jest „dostateczną” racją hermeneutyczną (problem „kręgu hermeneutycznego”), skoro racja hermeneutyczna uwzględnia m. in. moment historyczny.

skiej myśli edytorskiej. Ale wprzód należy dokonać gruntownej analizy immanentnej samego *Edytorstwa* i artykuł niniejszy objęty jest tym przedsięwzięciem.

*Edytorstwo* jest wyraźnie próbą rewizji stereotypu tematyczno-problemowego, na tyle stanowcza, że to, co nowe, góruje w niej ważnością (a przynajmniej intencją ważności) nad tym, co musiało zostać ze stereotypu przyjęte i zachowane. Fakt ów zadecydował o kompozycji całości. Już mówiłem, że inicjatywa ta nie ma chronologicznego pierwszeństwa, gdyż wyprzedził ją zwrot, jaki dokonał się w refleksji edytorskiej Konrada Górskiego: od *Sztuki edytorskiej* (1956) do *Tekstologii* (1975), w której (wybieram jeden z wariantów ujęcia!) odwrócony został stosunek między edytorstwem a tekstologią. Ta ostatnia problemowo wysunęła się na czoło. U Trzynadlowskiego uwidoczniła się dalsza faza tego samego procesu, radykalniejsza: tekstologia (inaczej już rozumiana!) przytłacza edytorstwo (także inaczej pojęte!), chociaż to Górski w tytule na pierwszym miejscu położył słowo „tekstologia”, a Trzynadlowski — „edytorstwo”. Mówić też przyjdzie i o tym, że sama tekstologia jest już inna. Tekstologia Górskiego ma grunt empiryczny, a jej bliźnią siostrą jest hermeneutyka, natomiast tekstologia Trzynadlowskiego ma grunt teoretyczny (spekulatywny), a jej bliźnią siostrą jest genologia. Ten moment także uwypuszcza kontury pokoleniowego rytmu refleksji naukowej, widoczne nadto w odmienności ukształtowania stylistycznego (i materiałowego) obu książek.

Ale pora na pytanie o trafność tytułu. Czyż rzeczywistej zawartości książki Trzynadlowskiego nie odpowiadałby wierniej tytuł: „Utwór (»paraliteracki«). Jego tekst, język i opracowanie edytorskie”? Czyż nie taka właśnie jest propozycja i kompozycja materiału książki? Pytanie to urasta właściwie do zarzutu „niestosowności korelacji między dziełem a tytułem” (JT 151), ale zmierza do wskazania „niestosowności” między gatunkowością dzieła a jego zawartością. Autor podręcznika dla redaktora wydawniczego nie ma obowiązku (co więcej: nie powinien) tworzyć dla swego „podopiecznego” — arsenału wszelkiego „erudycyjnego uzbrojenia” (JT 94), bo ani ów „redaktor, który ma przecież dorównać edytorowi” (stając się nim), nie powinien być czytelniczko *homo unius libri*, ani podręcznik nie powinien gatunkowo rywalizować z encyklopedią, która (chyba jedyna pełnoprawnie) jest z przyczyn gatunkowych „wszelkiej scjencji pełna”. Jak to powiedział sam Trzynadlowski w swym postulatce autorsko-wydawniczym: „nie należy przeceniać ignorancji” (JT 92) redaktora. Tymczasem zaś sam go przecenia (powiem o tym) i zarazem nie docenia, wyręczając go w „spojrzeniu poza krąg faktów profesjonalnych” (JT 94). Podręcznik usiłuje być omnibusem, jakby „krótkim kursem” przeróżnych rzeczy, w których niejaki rozeznanie mieć powinien redaktor wydawniczy: poprawność stylu (cały rozdział), zasady rozumowania logicznego (JT 144—145) itp.

Błędu tego nie popełnia *Edytorstwo publikacji naukowych* Leona Marszałka (Warszawa 1974), także mająca charakter podręcznikowy książka-skrypt, która skądinąd (jako tekst wykładów kursu szkoleniowego) ma w znacznej części charakter kompilacyjny i elementarny w swej informacyjności. Termin „edytorstwo” wcale nie oznacza wszystkiego, co powinien znać edytor. Geografię i ortografię powinien znać dyplomata, ale one bynajmniej nie należą do teorii dyplomacji (jeśli taka istnieje). Jak pisze Górski, zdarza się „komentarz pisany na tematy, które do jego zadań nie należą” (KG 279).

Twierdzą, że książka Trzynadlowskiego zawiera (przenikające się wzajem) dwie różne książki i że szkoda, iż zamiast „podręcznika teoretyczno-instruktażowego” (JT 93) nie powstały osobno: zbiór studiów teoretycznych i podręcznik instruktażowy<sup>6</sup>.

<sup>6</sup> Problematyce teoretycznej „wtłoczonej” w *Edytorstwo* poświęcam osobne omówienia (m. in. „Teksty” 1978, nr 5; „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 1979, nr 2 (w druku)).

## 2. Pod nazwą „edytorstwa”

### Zacierane odróżnienie

Chodzi o odróżnienie edytora od wydawcy. Edytorstwo jest wtedy dyscypliną o charakterze filologicznym. Edytor to osoba dostarczająca wydawnictwu naukowo poprawny tekst cudzy, z reguły wraz z aparatem krytycznym<sup>7</sup>. Wydawca to instytucja wydawnicza (wydawnictwo); wydawca, otrzymawszy gotowy tekst, przygotowuje go do druku: organizuje techniczną stronę powielenia, dzięki któremu powstaje książka (powiedzmy nastroszonym stylistycznie słowem Golińskiego) „w zintegrowanym, zabsolutyzowanym tekście pełniąca rolę społecznie służebną” (ZG 53)<sup>8</sup>. Odróżnienie to zachowane jest jeszcze w nazwaniu książki „edycją wydawniczą” (ZG 53), ale normą niemal staje się już jego nieprzestrzeganie, i to w tym stopniu, że Marszałek nawet wtedy, kiedy jeszcze wskazuje na „dystynkcję”, używa przecież określeń: edytor-badacz, edytor-wydawca (LM 8). W wydanej pod redakcją Konrada Górskiego *Tekstologii w krajach słowiańskich* (1963), w której (zastrzeźmy) prawie wszystkie prace są tłumaczeniami, terminów „wydawca” i „edytor” używa się wymiennie.

### Nobilitacyjne intencje

Goliński zauważył, że termin „edytorstwo” przywłaszczyła sobie już po drugiej wojnie instytucja wydawnicza. W trybie legalizacyjno-polemicznym odwołano się do artykułów hasłowych w słownikach i encyklopediach. Utożsamiając „edytora” nawet z redakcją, „edytorstwo” z wszelką praktyczną działalnością wydawniczą (do której zaliczono nawet rozpowszechnianie publikacji), sięgnięto i po argumenty moralno-prestżowe, upominając się o rangę trudnej pracy redaktora wydawniczego. Ale tendencja ta ma swój wariant ambitniejszy, który trzeba wyodrębnić w ramach przeglądu. Jest nim „edytorstwo naukowe”. Tu przez edytora rozumie się pracownika wydawnictwa naukowego albo redakcji czasopisma naukowego i nazywa się go „edytorem naukowym” (na tle znaczenia tradycyjnego: oczywisty pleonazm). Edytorstwu filologicznemu zarzucił Goliński ugrzęźnięcie w sprzecznym wewnątrznie usiłowaniu jednoczesnej realizacji celu naukowego i praktycznego (widział w tym pozytywistyczną spuściznę). Usiłowanie to powtarza i edytorstwo „wydawnicze”, które chce być jednocześnie „techniką wydawania książek” i nauką (teorią tych technik?), a przynajmniej „postępowaniem naukowym”. Bardzo rzadko się zdarza, by przyznano, że istnieje po prostu sprzeczność pomiędzy interesem

<sup>7</sup> Ten sens zawarty jest w tytułach następujących publikacji: *Zasady typowego opracowania edytorskiego*. Warszawa 1962. — *Zasady typowego opracowania edytorskiego naukowych wydawnictw ciągłych*. Warszawa 1964. — W. Floryan, *Edytorstwo dokumentalne w Wydawnictwie Ossolineum*. Wrocław 1967. Sens ten zaciera się już w publikacji Marszałka *Edytorstwo publikacji naukowych*, o czym świadczy choćby spis treści tej książki. Od zasady posługiwania się tym terminem odstąpiły publikacje: *Zasady wydawania tekstów staropolskich. Projekt*. Wrocław 1955. — J. Starnawski, *Praca wydawcy*. Kraków 1973. — Zob. KG 193. — ZG 39 (przypis 33). — JT 9, 11, 80, 84 n. — P 103—104. — GT 161.

<sup>8</sup> Ten sens zawarty jest w tytułach następujących publikacji: Trzaska, *Podstawy techniki wydawniczej*. — M. Kafel, *Zarys techniki wydawniczej*. Wyd. 2. Warszawa 1971. Oba sensy są terminologicznie odróżnione w broszurze Floryana (op. cit.). — Zob. KG 193. — ZG 52—53. — JT 9. — P 5, 103—104.

naukowym a interesem praktycznym (F. Vodička — zob. T). Przeważa pogodne przekonanie o zacieraniu się różnicy, zanikaniu sprzeczności. Nie odróżnia się działalności naukowej od „korzystania z pomocy nauki”, od „wspomagania przez naukę”, od pracy „w oparciu o środowiska naukowe” czy „sztaby naukowe”. Bywa, że ta sama osoba (L. Marszałek) postuluje teoretyczne uogólnienie praktyki wydawniczej i zarazem sygnalizuje jego niewykonalność. Jak dawniej edytorstwo pochłaniała filologia (i historia literatury), jak teraz anektuje je bibliologia (księgoznawstwo), parcelując je przy tym stosownie do dwóch własnych poziomów: praktycznego i teoretycznego<sup>9</sup>. Tymczasem medycyna odróżnia geriatrię od gerontologii.

Na wysuwane propozycje badań historii prac redakcyjnych czy opracowywania zaleceń prakseologicznych dla pracowników redakcyjnych zgodzić można się łatwo, gdyż „dla badań wszystko może być ważne w określonych sytuacjach” (JT 81). Pamiętając o spostrzeżeniu Górskiego, że brak jedności zasługuje na przeanalizowanie, należy bodaj zasygnalizować nadal trwający stan koncepcyjnego chaosu, wskazać na retoryczną werwę i naukową niefrasobliwość niektórych wniosków unowocześniających i zauważyć, że od czasu dokonania przez Golińskiego energicznych „przekrojów” trochę się zmieniło. Ale czy na lepsze?<sup>10</sup> Z dwuczłowego, bédierowskiego terminu „sztuka wydawnicza” (ZG 28, 37) zachowano — po różnych odmianach — człon drugi (ale w wersji niepolskiej), a wszyscy (wcześniej czy później) wyrzekli się „sztuki”. Snobizm czy postęp?

#### Redaktor wszechwładny

Rzecznicy tendencji reformistycznych (ci zwłaszcza, co aspirują do roli jej teoretyków) po argumenty sięgają do różnych dziedzin rzeczywistości kulturowej. Wskazują na historyczną zmienność przedmiotu i zakresu działalności wydawniczej. Dla hybrydalnego złożenia momentów teoretycznych i praktycznych w „edytorstwie naukowym” szukają usprawiedliwiającej analogii we współczesnym zacieraniu się granicy między techniką a naukami ścisłymi. W zakres zadań redaktora wprowadzają problematykę ideologicznych założeń nauki (niemal nie odróżnionej od problematyki filozoficznych założeń nauki) i, przyznając mu funkcje decernencko-kontrolne, jednocześnie deklarują naukowy obiektywizm kryteriów w jego działalności. Podkreślają służebność społeczną i ideologiczną edytorstwa naukowego. Dawnym, indywidualnym sposobom wykonywania pracy edytorskiej, której wyniki zależały od osobistej sumiennosci i kompetencji badacza-uczonego, sposobom określanym wyniośle jako chałupnicze, przeciwstawia się

<sup>9</sup> KG 195. — ZG 5, 31, 37—38, 52—53, 55, 95. — JT 9, 92. — LM 5—7, 9—10, 18—20, 34, 87, 94. — P 6, 11, 37—38, 104—105, 114, 161, 187. — GT 161—162, 176. — T 21—23 (F. Vodička). — Kafel, op. cit., s. 15.

<sup>10</sup> KG 99. — JT 34. — ZG 5, 7, 13, 21, 27. — LM 19—20. — GT 167—168. Przykład nieporozumienia czy interpretacji „zaostrażającej”: Goliński wskazywał, jako na symptom nieporozumienia (nieuchronnego), na przenoszenie terminu „sztuka edytorska” na „opracowania typograficzne i introligatorskie” (ZG 29), a Talar utrzymuje, że Goliński „nieśmiało” narusza tradycję (pozór „nieśmiałości” wynika stąd, że Talar spogląda z zewnątrz — jako bibliolog — na wywody dotyczące raczej tradycji filologicznej) tym, iż przyjmuje (!?) możliwość utożsamienia „sztuki edytorskiej” z „pozatekstowym wyposażeniem książki” (GT 161). Nieporozumienie polega tu na tym, że Talar sięgnęła ku temu miejscu *Przekrojów* (ZG 39), w którym jest już tylko nawiązanie do wyrażonej wcześniej opinii; zresztą nawiązanie modyfikujące, a więc Goliński sam się przyczynił do nieporozumienia.



kolektywny styl pracy według organizacyjnie ujednoczonych zasad, z których jedną jest zasada wielokrotnej i wielorakiej kontroli tak jednoosobowej, jak komisyjnej. Z satysfakcją mówi się o rozpadaniu się i zanikaniu „klanu” uczonych, których miejsce widzi się w redakcyjnych i przyredakcyjnych „sztabach” wykonawczych i konsultacyjnych, a także w zakładach kształcących samych redaktorów. W takim ujęciu problemy edytorskie to nadal jednak jeszcze problemy „wydawców i specjalistów”, mimo wyraźnej zmiany układu stosunków<sup>11</sup>.

Mocno jest podkreślane zacieranie się granicy między funkcjami autorskimi a redakcyjnymi. Jako przykłady najbardziej przekonujące podawane są redakcje dzieł encyklopedycznych i leksykograficznych, zwłaszcza że właśnie w nich w najwyższym stopniu dochodzi jakoby do upodobnienia (czy nawet identyfikacji) metod pracy redakcyjnej z metodami naukowymi. To tam uprawnienia redaktora daleko wykraczają poza samą tylko kontrolę językowo-stylistyczną i poprawki wynikłe ze spożytkowania uwag recenzenta. Niedostateczne bodaj byłoby mówienie, że redaktor jest współautorem tekstu artykułu hasłowego, skoro tekst autorski bywa sprowadzony do roli podstawy materiałowej dla tekstu opracowanego przez redaktora, a nie tylko sprawdzony pod względem faktograficznym czy nawet merytorycznym. Problem autorstwa jakby przestaje istnieć, skoro i taki dwójautorski tekst (o autorstwie dwuetapowym) artykułu hasłowego podlega w ramach całości dzieła dalszym zabiegom kontrolnym i scalającym, wykonywanym przez komitet redakcyjny, o którym (jako o instancji) podręcznik edytorstwa naukowego mówi w namaszczonych superlatywach: „Wszechstronna erudycja, zwykle głęboka wiedza filozoficzna i znajomość ogólnych podstaw metodologii nauki, znajomość współczesnej historii, wiedza polityczna — to są zwykle cechy osób wykonujących czynności redakcyjne na tym szczeblu. Z cech tych wynikają [nielogiczność — S. D.] kryteria stosowane przy czytaniu tekstów” (LM 98)<sup>12</sup>. I dopiero „dzięki pracy tego organu dzieło nabiera oryginalnego wyrazu, uzyskuje bardziej jednolity charakter pod względem założeń ideowych i metodologicznych” (LM 98). Dezindywidualizacja — gwarantem oryginalności. Redaktor wydawniczy panuje nad wszystkimi etapami procesu wydawniczego: od programowania i postulowania — przez inspirowanie, zamawianie, selekcjonowanie — aż po czysto techniczne wykonawstwo redakcyjne (P 10—11; GT 166).

Jeszcze efektywniejszym przykładem przejmowania roli autorskiej przez redaktora-wydawcę okazuje się praca nad podręcznikiem. Wydawca — znając ogólne tendencje rozwojowe szkolnictwa wyższego, rozwój dydaktyki szkoły wyższej, programy nauczania i plany studiów, „teorie psychologiczno-pedagogiczne, cybernetyczne, semantyczne”, a także plany wydawnicze innych oficyn — jest insty-

<sup>11</sup> T 29, 31—34, 69, 77, 81. — P 10, 22, 32, 104—105. — LM 8, 18, 21, 63. — W sprawie problemu „nauka a technika” zob. np. opinię astrofizyka i filozofa, M. Hellera (*Antynomie działania*. „Znak” 1977, nr 5, s. 580): „Dziś już trudno nakreślić jednoznacznie granicę między nauką a techniką. Nauka stała się bardzo techniczna, a technika bardzo naukowa. Skuteczność metod naukowych uwidocznia się nie tylko w trafnym przepowiadaniu wyników przyszłych eksperymentów, lecz także — a dla wielu ludzi przede wszystkim — w zastosowaniach technicznych. To zwłaszcza za pośrednictwem techniki nauka ingeruje do naszego codziennego życia. I dlatego »mentalność techniczna« jest dziś zjawiskiem bardziej powszechnym niż »mentalność naukowa«”.

<sup>12</sup> Zob. też LM 20, 93—97. — P 114. — T 31. — GT 168. — JS 5. — FT 241—242. — W przytoczonej wypowiedzi wyraźnie zatarto granicę między szacunkiem dla kompetencji a szacunkiem dla „szczebla”. Praktyki takie bardzo utrudniają uprawianie rzeczowej refleksji naukowej.

tucjonalnym wcieleniem kompetencji (choć ich nosicielami rzeczywistymi będą naukowe zespoły specjalistyczne). Opinie na temat jego uprawnień nie są ujednoczone. Jedne utrzymują, że współtwórcą jest tylko w pewnym sensie, gdyż jego ingerencja i sterowanie ograniczają się do „programu, wyposażenia, obudowy metodyczno-dydaktycznej”, nie tykając treści. Inne opinie — jeśli nawet przyznają autorowi inicjatywę przedłożenia konspektu pracy i „prawo do ostatniego słowa” w sprawach merytorycznych — samo wykonanie pracy podporządkowują postulatowi i opinii edytora. Ale są i opinie radykalne, głoszące, że uczonego specjalista nie nadaje się do napisania podręcznika, bo nie zdołałby ani przeprowadzić należytej jego analizy treściowej, ani zrealizować należytego (naukowego) ujęcia treści; on może „napisać tylko bezcenne »tworzywo«” dla podręcznika, który napiszą dopiero szczególnie wykształceni specjaliści-redaktorzy: napiszą „pięknym, zaangażowanym emocjonalnie językiem” tak, by podręcznik „wprowadzał w poznanie piękna nieznanego świata”, zmuszał do samodzielnej pracy, „pobudzał wyobraźnię twórczą” i — regulował czas potrzebny na opanowanie materiału. Protesty przeciw obniżaniu roli autora nazwane zostają autorskim sprzeciwem wobec zbyt wysokich wymagań, a samą tendencję wspierają anegdoty o autorach, którzy — licząc na pomoc redaktora — świadomie przekazują wydawnictwu nie dopracowany maszynopis. W takim stawianiu sprawy fantazjowanie krzyżuje się z nonszalancją. Sporadycznie pojawia się opinia o „kolegialnym autorstwie” („opracowaniu przez zbiorowe ciało”) „każdego numeru periodyku naukowego”<sup>13</sup>.

Opisana tu tendencja ma charakter jawnie regresywny. Jak wiadomo, to w literaturze staropolskiej mamy do czynienia ze zjawiskiem swoiście rozumianego współautorstwa pisarza i wydawcy (zresztą tylko w zakresie językowej postaci utworu), gdyż w tamtych czasach wydawca kompetencję językową reprezentował w stopniu awansującym go do roli kodyfikatora ogólnego języka literackiego (dzisiaj jest odwrotnie: wydawca domaga się dla siebie „opracowania traktującego o stylu naukowym”); ale od w. XIX rośnie rola autora i jego osobista odpowiedzialność za poprawność publikacji własnego utworu i dlatego chciałoby się słowami artykułu Stanisława Pigonia zapytać: „Pokaż się granica swobody redaktorskiej?”<sup>14</sup>

#### Redaktor realny

Pisze Trzynadłowski, że „termin może przekraczać granice jednej dziedziny i być stosowany w obrębie różnych nauk i działań praktycznych”, acz z pewną modyfikacją znaczeniową (JT 132); lecz — omawiając sprawę półterminów — sam podaje przykłady wyrażenia niesensownych (JT 133), a także podkreśla związek między jednoznacznością a zakresem znaczeniowym terminu (JT 46—47). Otóż przez analogię można by powiedzieć, że i trudno, i niebezpiecznie jest przekraczać granice własnej roli czy też (wyraźmy to samo inaczej) nadto szeroko granice tej roli wyznaczać. Łatwo wtedy o niesensowność, a także o stwarzanie fikcyjnych stanów rzeczy. Rzeczywista sytuacja (i rola) redaktora wydawniczego jest do odczytania z tych samych źródeł, z których korzystaliśmy dotychczas. On przecież ciągle wymaga kursowej i podręcznikowej (a więc podstawowej) edukacji, aby mógł spro-

<sup>13</sup> W sprawach dotyczących całości wywodów tego akapitu: P 48, 62—65, 75, 90—93, 161—163, 87, 190.

<sup>14</sup> ZG 32, 35, 57 (przypis 7), 94. — P 49. — Artykuł (dotyczący uprawnień edytora) S. Pigonia w: „Ruch Literacki” 1961, nr 3; przedruk w: *Miłe życia drobiazgi*. Zob. JS 45.

stać podstawowym zadaniem swego fachu. Jemu tych zadań nie należy mnożyć nad możliwości wykonawcze, podobnie jak nie należy mnożyć terminów ponad potrzebę. „Znajomość logiki, frazeologii i stylistyki”, znajomość „elementów językoznawstwa”, wykształcenie w zakresie jednej, potrzebnej specjalizacji, zaangażowanie ideowe i wyrobienie polityczne — nie czynią przecież redaktora wydawniczego równorzędnym partnerem w dyskusji naukowej ze specjalistą-badaczem. Jest on pierwszym czytelnikiem dzieła naukowego zaproponowanego wydawnictwu, ale lektura ta nie jest dlań łatwa, nawet jeżeli jest czytelnikiem w pełni fachowym, a tymczasem ostrzega się go, że jeśli jego „prace wstępne” (studiowanie maszynopisu i recenzyj, wypracowywanie wydawniczej koncepcji książki) trwać będą zbyt długo, to mu zabraknie czasu na czysto techniczne „doredagowanie maszynopisu”<sup>15</sup>. Niezależnie od wszelkich wyobrażeń perspektywicznych (*pia desideria*), obecnie „działalności edytorskiej, choć wymaga ona wysokich kwalifikacji, nie można jednak [...] uznać za samodzielną dyscyplinę naukową” (P 207).

Udział redaktora wydawniczego w realizowaniu polityki wydawniczej ma swe ograniczenia. Udział jego w doskonaleniu wydawanego (opracowywanego) przezeń dzieła ograniczany jest: formalno-prawną wolą autora, tradycją poszanowania praw twórczych autora, rodzajem publikacji, poziomem autorskiego opracowania dzieła, wreszcie — poziomem kompetencji samego redaktora. Interwencje merytoryczne w dzieło autorskie są — jako praktyka redaktorska — tyleż kontrowersyjne (prawnie, zwyczajowo, teoretycznie), co przykre. Nawet opracowując artykuł hasłowy w encyklopedii, autor „zachowuje prawo do stwierdzeń merytorycznych” (JT 31). Redaktor wydawniczy nie powinien ani autora zastępować, ani aspirować do współautorstwa, gdyż na to nie dysponuje odpowiednim warształem naukowym; stanie się to oczywiste, jeśli przypomnimy, że redaktor może „prowadzić” w ciągu roku kilka książek, znacznie nawet różniących się tematyką, i może się mu zdarzyć nawet słaba znajomość problematyki redagowanego dzieła. Dlatego bardzo ważne jest podnoszenie już samego poziomu kultury redaktorskiej, bo i w sprawach językowych może się zdarzyć, że redaktor własne nawyki językowe albo własne ograniczenia erudycyjne bierze za normę językową i usiłuje narzucić je opracowywanemu tekstowi, który przecież uniezależnia się od autora dopiero po „powieleniu”, po opublikowaniu, a nie w trakcie prac redakcyjnych<sup>16</sup>.

#### O redaktorze wydawniczym

Na zarysowanym powyżej tle umieścimy to, co Trzynadlowski mówi o redaktorze wydawniczym, dla którego przeznaczył swą książkę, poświęconą przecież zagadnieniom „edytorstwa naukowego” (JT 10). Przyznaje redaktorowi rolę kontrolera, recenzenta, analityka i korektora opracowywanego przezeń (technicznie głównie!) tekstu naukowego (JT 58—59). Czytamy, że redaktor doradza autorowi układ dzieła zgodny z konstrukcją przyszłej książki (JT 141). Ja w konstrukcji *Edytorstwa* odczytałem koncepcję dzieła (koncepcję autorską), a autor *Edytorstwa* upoważnia redaktora, by ją podporządkowywał technicznej koncepcji książki. Należałoby raczej doradzać redaktorowi, by koncepcję książki podporządkowywał koncepcji dzieła. Zresztą takie zalecenia też są w *Edytorstwie*, i to częste. W nim redaktor to wszechstronny mistrzowski ulepszacz autorskich niedomóg terminologicznych, stylistycznych, logicznych, „stosowościowych”, poprawnościowych, kompozycyjnych (JT 140—141). Koncepcji tej przeciwstawić trzeba uwagę, że w zasad-

<sup>15</sup> P 189, 206. — LM 5. — GT 169. — JT 81, 119, 125.

<sup>16</sup> W sprawach dotyczących całości wywodów tego akapitu: KG 27, 48. — ZG 46, 85. — LM 16, 40, 55—62. — P 38 (toż 94), 74, 88, 94—95, 116, 188. — GT 171.

niczy sposób odmienna od autorskiej odpowiedzialności za dzieło jest odpowiedzialność redaktorska. Szczególnie uporczywy akcent położono na konsultacyjno-interwencyjne prerogatywy redaktora w sprawach kompozycyjnej strony dzieła, jego podziału wewnętrznego, układu (JT 64, 143, 159).

Trafna opinia o zewnętrznym, i dlatego innym, spojrzeniu redaktora na dzieło nie powinna jednak prowadzić do sugestii o „wyższości” owego spojrzenia nawet wtedy, kiedy partnerem redaktora jest „autor początkujący” (JT 38), bo z takiej zbyt przedsiębiorczej pieczy wynikną tylko potem problemy ścierania do autentycznej woli autora; szczególnie — kiedy naprzeciw początkującego autora siądzie początkujący redaktor (podręczników nie pisze się przecież dla redaktorów wytrawnych, mających już wieloletnią praktykę). W czasach (jakże wczesnego) debiutu naukowego Juliusza Kleinera nie było — na szczęście — takich zaleceń. Ranga społeczna redaktora jest w pewnej mierze pochodną rangi społecznej autora, z którym redaktor współpracuje w redakcyjnej fazie pracy nad utworem. Dlatego zbytnie spiętrzanie zadań (a zwłaszcza powinności) redaktora, infantylizując model osoby autora, wbrew pozorom nie służy bynajmniej podkreśleniu rangi zawodu redaktora. Zbytnie przerzucanie na redaktora zadania ukonsekwentowania tekstu naukowego (JT 38, 81), zbyt szerokie rozumienie „operacji zmierzającej do informatywnego i technicznego ujednoczenia edycji” (JT 38), grozić może „redaktorowładztwem”, redakcyjnym technokratyzmem, likwidacją „indywidualnych cech autorskiej wypowiedzi” (JT 38), a więc wydawniczą plagą egipską.

Wbrew niejasnym znaczeniom wywodu nie jest wcale jednym z celów pracy redaktora wydawniczego „ujawnianie walorów językowych tekstu” ani „wydobywanie różnorodnych sensów (oraz funkcji) dzieła” (JT 27), gdyż zadanie to zostało sformułowane w sposób sugerujący już dokonanie studium analitycznego. I przesadna, i chyba dość niejasna jest opinia, że redaktor wydawniczy (tu Trzynadlowski powiedział „edytor”, stwarzając amfibologię, której poświęć osobną uwagę) „przekłada niejako formy skonstruowane przez autora i dopełnione na warsztacie edytorskim [= naukowym] na elementy bibliologiczne, tu nazywane wydawniczymi” (JT 62). Przecież formy, jakie konstruuje autor, edytor i redaktor są z zupełnie różnych porządków zagadnieniowych (Trzynadlowski dodałby: i ontycznych). Jeśli autor tworzy np. „formy literackie”, to na czym niby miałyby polegać ich „przekład” na „formy wydawnicze”? I co w ogóle za przekład, skoro chodzi głównie o utrwalenie i powielenie (JT 34)!

Parafrazując słowa Trzynadlowskiego (JT 33), powiedziałbym, że dąży on do paradoksu „ekwiwalencji amplifikacyjnej”, że usiłuje przybliżony odpowiednik potraktować jako równoważnik. To, że redaktor ma fachową znajomość sposobów opracowywania książki, nazwano „bardziej [niż autorska] wyostrzoną i skonkretyzowaną świadomością bibliologiczną” (JT 160) i bardzo łatwo wyczuwalna jest w tym określeniu nadwyżka retoryczna występująca także w wyliczeniu dekalogu współodpowiedzialności (emocjonalna, moralna, społeczna, ideowa, polityczna, naukowa, materialna, formalna, merytoryczna, praktyczna), które — spadając na „wydawcę [= redaktora wydawniczego!] naszych czasów” (JT 160—161) — czynią zeń Heraklesa, Winkelrieda i męża stanu w jednej osobie. Dlatego dobrze, że chociaż na przedostatniej stronicy książki przypomniano o istnieniu „granic kompetencji” wydawcy wyznaczonych przez obyczaj, prawo i — nieco zagadkowe „merytoryczne względy edytorskie” (JT 143). Zagadkowe, bo nie wiadomo, czy chodzi: 1) o „względy”, jakie okaże edytor autorowi w sprawach merytorycznych, 2) o własne jakieś „względy” (motywy?) edytora dotyczące jakiegoś *meritum* (*principium*?), 3) o branie przez edytora w rachubę strony merytorycznej dzieła. A jeśli się liczyć z obowiązującym w tej książce znaczeniem terminu edytor-wydawca, to — jak się zdaje — tłumacz w wyborze podstawy przekładu też powinien iść za autorytetem edytorskim, a nie „edytorsko-wydawniczym” (JT 33).

## Wieloznaczność terminologiczna zamierzona

Wieloznaczność tę muszę omówić wyodrębniająco. Wiadomo, że niekiedy wieloznaczność słów („druk”, „korekta”; zob. FT 9, 295) tolerujemy, licząc na czytelniającą rolę kontekstu. Leon Marszałek unika dwuznaczności terminu „wydawnictwo” przez użycie terminu „publikacja” na określenie wydanej pozycji, a „wydawnictwo” rezerwując na określenie instytucji (LM 22). Ale bardzo rzadko spotkać można w pracy naukowej tak intensywną wieloznaczność jak ta, którą dopuścił Trzynadlowski w sprawie rozumienia terminu „edytor-wydawca” i w sprawie postaci tego terminu. Autor, który napisał, że „zasadniczym sposobem uzyskiwania maksymalnej jednoznaczności jest stosowanie terminologii”, a samą jednoznaczność określił jako „określoność treści i zakresu pojęciowego” terminu (JT 132), tym razem — podkreśla intencję dwuznacznego używania terminu „edytor” (JT 81) i wytrwale zaciera granice między terminami „edytor” i „redaktor” (JT 26—27), chociaż czasem wyraźnie odróżnia „edytora-wydawcę” od „redaktora” (JT 75) albo mówi o „pracy redaktora i [?] edytora wydawniczego” (JT 155). Autor niemal jakby dążył do kombinatorycznego wyczerpania kompletu możliwych połączeń słów. Mówi: „edytor-wydawca” (JT 72), „wydawca, a zatem edytor (redaktor)” (JT 160), „edytor (redaktor) — wydawca” (JT 159); pojawia się nawet tasiemiec „edytor-wydawca-redaktor” (JT 58), i dalej na te same stronicy już tylko „edytor-redaktor”, a nawet „edytor”. Wieloznaczność i wielokształtność Trzynadlowski celowo legalizuje przez sposób wyjaśniającego redagowania, np. „edytor-wydawca (edytor-badacz, edytor-redaktor)” (JT 24). Wreszcie, jakby w ostatniej chwili, znaczenie terminu „wydawca” obejmuje także „grafika, kreślarka, fotografika”, a cofnie się tylko przed „drukarzem i intrologatorem” (JT 159), tak jakby bez nich można było wydać książkę.

Trzynadlowski pisze wręcz: „niejako [!] identyfikujemy edytora-badacza z edytorem-wydawcą [= redaktorem!] [...] z całą świadomością, domagając się [!] od tego drugiego wysokich kompetencji fachowych” (JT 29). Identyfikacja jest niejako pozorowana, a także rozchwiana pomiędzy opisem a moralistycznym wymogiem. Cała rzecz jednak w tym, czy jest to jeszcze wymaganie wysokich kwalifikacji w ramach zawodu, czy może już wymaganie kompetencji innego zawodu, bo to nie to samo: mieć orientację (w zakresie wyznaczanym przez potrzeby współpracy) w czynnościach edytora naukowego — a mieć kompetencję wykonywania tych czynności (zob. LM 55).

Termin „edytor-wydawca” nie tyle „musi” (JT 10), ile raczej może być (inaczej mówiąc: w pewnych konkretnych sytuacjach by w a) uznany za uzasadniony. Byłoby to jednak uzasadnienie sytuacyjne, pragmatyczne, a nie teoretyczne. Redaktor wydawniczy musi znać zasady edytorstwa naukowego, i to zarówno dla skutecznej współpracy z edytorem naukowym, jak też dla wykonywania własnych obowiązków, ale się z tego tylko powodu nie staje edytorem, chyba trochę podobnie jak (dopuszczam przesadę w podobieństwie) technik nie jest inżynierem. Czyż to nie swemu edytorowi-wydawcy autor zmuszony jest wyjaśniać znaczenie semiologicznego wyrażenia „tekst kulturowy” i nawet dopowiedzieć, że sens ten jest już objęty zainteresowaniem edytora (JT 27—28). We wprowadzeniu nazwy „edytor-wydawca” (droga to przetarta!) tkwi opisywana już przeze mnie — w pewnym sensie może i sympatyczna — intencja nobilitacyjna, ale wprowadzenie tej nazwy jako podstawowego, homogenizującego, często używanego terminu (JT 11) koliduje z dokonaniem we *Wstępie* zaznaczeniem różnoznaczności i z — zasadami dobrej roboty.

Teoretyczna i pragmatyczna mądrość scholastyków wyrażała się w ich wszechodnośnym postulatcie „*distingue!*” Ci, co postulat ten ośmieszali jako „dzielenie włosa na czworo”, bezwiednie nadawali (tym samym!) autodyskwalifikujący ko-

munikat, bo precyzji nigdy nie jest „nadto”. Pisze Górski: „niebezpieczne są wypadki, gdy wieloznaczność słowa dopuszcza możliwość dwojakiemu rozumienia jakiegoś miejsca tekstu” (KG 282). Wtórzuje mu Goliński: „Stosowanie terminów nieostrych pozwala te same zjawiska nazywać tak lub inaczej przy intuicyjnym wyczuciu podobnych lub zbliżonych jakości” (ZG 57). W moim „intuicyjnym wyczuciu” wymiennosc terminów „edytor” i „wydawca” nie wydaje się równie zasadna „w obie strony”. Wolałbym edytora zwać wydawcą (naturalnie brzmi: Kucharski wydał komedie Fredry) niż instytucjonalnego wydawcę edytorem (choć tu odczuwa się nacisk terminologiczny języków zachodnioeuropejskich). A już termin „redaktor wydawniczy” oznacza dla mnie tylko podmiot wykonawczy objęty przez nadrzędny podmiot instytucjonalny: wydawnictwo<sup>17</sup>.

#### 4. Pod nazwą „tekstologii”

Określnik „unaukowiający” a realny zakres zadań

Podobnie jak wydawca sięgnął po nazwę edytora, edytor — jakby samozachowawczo — sięgnął po nazwę tekstologa. Nikt nie chce pozostawać sobą, lecz sama manipulacja terminologiczna niczego jeszcze nie zmienia w rzeczywistej praktyce specjalizacyjnej. Więc zmianę tę zaczęto motywować rozwojem metod badawczych, wzbogaceniem i rozbudową problematyki, analogią do nowo utworzonych terminów: „genologia”, „wersologia”. Terminem „tekstologia” posługiwali się w latach dwudziestych formalizujący literaturoznawcy rosyjscy na określenie problemów: wyboru tekstów, możliwości ustalenia tekstu „kanonicznego” utworów, dopuszczalności koniektur, pojęcia woli autora w zastosowaniu do tekstu, znaczenia różnych redakcji i wariantów oraz ich wykorzystania, a więc na określenie problemów „sztuki edytorskiej”, a szczególnie tzw. krytyki tekstu. Dla Borisa Eichenbauma tekstologia to praktyczna dziedzina badań literackich służących przygotowaniu do druku tekstu autorskiego (zwłaszcza tekstu utworu klasyka) zweryfikowanego i oczyszczonego z wszelkich błędów i omyłek. Podobnie dla Borisa Tomaszewskiego tekstologia to dyscyplina praktyczna, rodzaj filologii stosowanej. Więc krytyka tekstu to głównie ustalanie tekstu, badanie konkretnego tekstu.

Górski, który terminem „tekstologia” jakby równoważy w swej *Tekstologii* termin „edytorstwo naukowe”, w rzeczywistości nadal używa ich obu wymiennie. Mogłoby to (i powinno by) znaczyć, że je utożsamia, ale są u niego sądy, wyrażenia i zwroty, które taki wniosek uniemożliwiają: tekstologia wyrosła z filologicznej krytyki tekstu (KG 9—10); „tekstolog w swoim charakterze filologa” (KG 46). Możliwe, że w pewnej mierze przyczynia się do tego sposób, w jaki Górski rozumie samą filologię, sposób najszerszy z możliwych: jako naukę (wiedzę?) o kulturze jakiegoś narodu wyrażonej w wytworach językowych<sup>18</sup>. Czytamy, że tekstologia jest osobną gałęzią badań filologicznych (KG 5). W innym miejscu napisano, że edytorstwo naukowe to gałąź wiedzy praktycznej, na którą składają się wypróbowane zasady badania i wydawania tekstów dzieł literackich, i że dlatego edytorstwo ogarnia (!) również tekstologię, będącą umiejętnością badania tekstów (KG 194—195); a z takich sformułowań wynika jednocześnie (i sprzecznie) zarówno przynależność zakresowa tekstologii do

<sup>17</sup> Na s. 27 Trzynadłowski przecież wyodrębnia jako różne „kategorie działań”: edytorstwo naukowe (szkoda, że nie padł tu ten określnik) i osobę edytora oraz „edytorstwo wydawnicze” (jawny pleonazm) i osobę redaktora (podkreśl. S.D.).

<sup>18</sup> KG 9—10, 18, 46, 49. — ZG 13, 27 (wraz z przypisem 5), 31, 36, 39. — T 20—21, 54, 64, 68—70, 78. — LM 8.

edytorstwa jako jego poddziału („ogarnia”), jak i tożsamość zakresowa tekstologii i edytorstwa (wiedza praktyczna o zasadach badania = umiejętność badania).

Przy takim stanie sformułowań *Tekstologii* narzuca się uwaga, że znacznie bezpieczniej by było postępować odwrotnie i wiedzę łączyć z momentem teoretycznym (a umiejętność z momentem praktycznym); oczywiście: jeżeli słowo „umiejętność” nie jest tu użyte jako dawny odpowiednik terminu „nauka”. Z podobnego zagmatwania Goliński usiłował wydobyć się przy pomocy opinii, że Górski (podobnie jak B. J. Buchsztat) do tekstologii zalicza i dyscyplinę praktyczną, i niejako nadbudowaną nad nią naukę uogólniającą założenia i metody tej działalności praktycznej (ZG 43). Ale tej opinii można znowu przeciwstawić dokonane przez Górskiego ostre oddzielenie tekstologii od edytorstwa przez wskazanie na niezależność celów: tekstolog nie musi się parać pracą edytorską, edytorstwem naukowym (KG 5). Rozdział ten można rozumieć jako powiązanie tekstologii z ustalaniem tekstu, a edytorstwa z udostępnianiem tekstu, a więc w sposób niezgodny z jeszcze inną wypowiedzią Górskiego: „edytorstwo naukowe to zespół naukowo uzasadnionych metod ustalania i udostępniania poprawnego tekstu utworów (KG 190); w wypowiedzi tej widoczne jest mechaniczne (przez powtórzenie) stawianie akcentu na naukowości (będę ją potem kwestionował). Wspomniany rozdział jest też niezgodny z nazywaniem faktu ukazywania się dzieł w krytycznym opracowaniu edytorskim — „praktyką tekstologiczną”, z nazywaniem „rewelacji edytorskich” — „osiągnięciami i wzorami pracy tekstologicznej” (KG 207).

Cały ten mój wywód zmierza do wykazania, że poszczególne stwierdzenia definicyjne i opisowe „porozgałęziały się” tak bardzo, iż nie jest już możliwe dokonanie wzajemnego ich uzgodnienia. I z tego, że cel ten — jak sądzę — osiągnąłem, czynię *Tekstologii* zarzut najsilniejszy, a nie z tego, że Górski proponuje cofnięcie się do świadomości edytorskiej typu tradycyjnego, nacechowanej respektem dla autorytetu „ustnej tradycji doświadczeń” (ZG 33—34). Przecież jak Górski z rokiem 1884 (Zjazd im. Kochanowskiego) wiąże narodziny polskiego edytorstwa naukowego (KG 199; ZG 35), tak Goliński z rokiem 1956 (wydanie *Sztuki edytorskiej*) wiąże pierwszą polską próbę systemowego ujęcia problematyki edytorskiej i wyjście (!) poza tradycjonalno-rzemieślniczą praktykę ustnego przekazywania umiejętności z mistrza na ucznia (ZG 5, 33).

Dmitrij Lichaczow (nawiązując do niektórych sformułowań B. Tomaszewskiego) za zadanie tekstologii uznał badanie historii zmian tekstu zabytku, co tekstologię włącza w historię literatury i w historię kultury. W odniesieniu do literatury nowszej trzeba było także uwzględnić badanie procesu tworzenia (dynamiki procesu tworzenia, jak mówią Górski i W. Nieczajewa), co jednak wprowadza tekstologię w styk z psychologią twórczości (czy w ogóle teorią twórczości) literackiej. A ponieważ czynności tekstologa opierają się na materiale zachowanych rękopisów, odpisów oraz wydań i materiały ten mają za swój przedmiot, traktuje się także tekstologię jako dziedzinę źródłoznawstwa. Lichaczow, przedstawiając badania nad literaturą staroruską, z uznaniem mówi o zacieraniu się granic między rolami: historyka i historyka literatury, historyka literatury i tekstologa, odkrywcy materiałów i badacza materiałów. Świadczy to o zupełnym nietroszczeniu się o zagadnienia systematyzacji nauki, ale w tak rozumianej tekstologii cel poznawczy nie jest już przynajmniej podporządkowany celowi praktycznemu: publikacji dzieła. Globalizacji dyscyplinarnej (zacieraniu się granic) towarzyszy jednak objaw zupełnie przeciwny: świadczące o idiografizmie, postępujące atomizowanie się przedmiotu badań (który w konkretnym badaniu zawsze jest jednostkowy: ten oto tekst); wyodrębnia się tekstologia okresów literackich, tekstologia poszczególnych autorów (Szekspira, Mickiewicza), poszczególnych utworów. Górski stał się niemal tekstologiem *unius auctoris* i wskazanie na to przez Kazimierza Budzyka

nie mogło nie mieć charakteru ostrzeżenia przed (strach powiedzieć, bo chodzi tu o Mickiewicza) praktycystycznym zawężeniem uogólnień<sup>19</sup>.

W omawianej tutaj dziedzinie każda (jak to wykazywałem już kilkakrotnie) jednolitsza jej charakterystyka jest jednak bardziej wynikiem zabiegów ujednolicających (a więc dziełem charakteryzatora) niż wynikiem odnalezienia rzeczywistej jednolitości (a więc sprawą materiału). Wiera Nieczajewa przez tekstologię rozumie także edytorstwo (nawet i to redakcyjne, wydawnicze), skoro do jej zagadnień zalicza „typ wydania i rozmieszczenie utworów w poszczególnych tomach”, „pełność wydania zbiorowego, dokładność tekstów i zaopatrywania ich różnego rodzaju przypisami” (T 68—69; zob. też T 78). Górski za jedno z zadań tekstologii (a może nawet za wynik jej działań) uznaje wprawdzie „przywrócenie mu [tj. tekstowi] poprawnego kształtu, odpowiadającego intencjom twórcy” (KG 50, zob. też KG 23), za cel aparatu krytycznego uznaje uzasadnienie wyboru postaci tekstu i odtworzenie dynamiki procesu twórczego (KG 224), ale już typ wydania uznaje za zagadnienie techniczno-edytorskie, a nie naukowe (tekstologiczne), podobnie jak sprawę sposobu przekazania materiału dokumentacyjnego, zależną od typu wydania (KG 211—212, 218, 270).

Dlatego Goliński — który twierdzi (ZG 17, 55—56), że tekstologia opisuje indywidualne dzieła lub ich grupy oraz odtwarza historię własnych zabiegów poznawczych (można by ją więc nazwać samożywną), a twierdzi także, że od Górskiego różni się wykluczeniem momentu usługowości wobec instytucji wydawniczej — przydaje chaos do chaosu, gdyż o tej usługowości Górski mówi wyraźnie w związku z edytorem: tak we fragmencie cytowanym przez Golińskiego (ZG 53, przypis 59), jak i w innych miejscach *Tekstologii*, co sam Goliński także przyznaje (ZG 40); a w dodatku sam Goliński też powie czasem: „tekstologia (względnie [!] edytorstwo)” (ZG 6). Na tle przedstawionych już uśiłowiań dystynkcyjnych ten dwuczłonowy termin wypada (podobnie jak Trzynadłowskiego termin „edytor-wydawca”) nazwać błędem synekdochy. Z błędu tego wynika rozchwianie, pozwalające mówić: raz — że edytorstwo to technika wydawnicza (ZG 53), raz — że edytor (m. in.) rekonstruuje proces powstawania dzieła w jego tekstowych wyznacznikach (ZG 98), a nawet — że wydawca (edytor?) winien pozostać przy kategoriach opisu (twórczego!) zaświadczonego przez dokumentację tekstową (ZG 95). Ten rozrzut jest już równie szeroki (i daleki od precyzji), jak opisany rozrzut terminologiczno-znaczeniowy u Trzynadłowskiego, i to tylko pozwala mi w tym miejscu podjąć te sprawy, które Trzynadłowski omawia w związku z rolą edytora.

Otóż tam, gdzie obowiązkiem edytora jest lokalizacja chronologiczno-przestrzenno-sytuacyjno-modalna utworu („kto, kiedy, do kogo, o czym i jak”), edytor wchodzi już w rolę historyka literatury, a nie tylko przygotowuje temu ostatniemu „materiał badawczy” (JT 26). Bada już nie tekst tylko, ale także kontekst uwarunkowań (robił to i filolog), dostęp do nich uzyskując głównie przez inne teksty, a więc jakby wykraczając poza sferę tekstów i nie wykraczając z niej<sup>20</sup>.

Nie ufając wykonalności postulatu, by redaktor wydawniczy „ciałem połknął duszę” edytora naukowego, sam utrzymuję z kolei, że edytor naukowy musi (czasem?) „ciałem połknąć duszę” teoretyka literatury, historyka literatury i krytyka literackiego (jeśli przez krytyka rozumieć tego, kto bada jednostkowe właściwości

<sup>19</sup> KG 31, 39, 88, 143, 197, 226—236, 284. — ZG 29 (wraz z przypisem 9), 32, 44, 53, 98. — JT 24. — LM 7. — T 8, 18, 31, 64—65, 75—76, 82—83.

<sup>20</sup> Lecz jest opinia, że biblista powinien na własne oczy zobaczyć Ziemię Świętą (a filolog klasyczny — Grecję czy Italię) i przejść po niej własnymi nogami, aby także w ten sposób uchwycić „genium loci”, a przezeń — ślady „genii temporis”.



wybranego utworu). Teza, że edytor wie o utworze więcej niż autor, odpowiada podobnej tezie o krytyku literackim, który tekstu, a nie autora, pyta, co ma myśleć o utworze (recenzent jest także w tej roli i sytuacji). I prawomocności tej tezy-postulatu nie można nadwątlić anegdotami o naiwności naszych naukowych pradziadków albo o omyłkach naszych znakomitych dziadków. Błędy Kleinera czy Kucharskiego były popisami wyobraźni edytorskiej i mistrzowskiego warsztatu edytorskiego. Przysłowie o błędach, na których się trzeba uczyć, nie wzięło się z powietrza, bo wiadomo, że na błędach patalachów uczyć się nie warto. Błędy mistrzów, a raczej nie błędy, lecz same *modi procedendi*, zachowują sens także wtedy, kiedy ich wynikowi zaprzeczy znalezisko materiałowe. Taki los spotkał Kleinerowski argumentujący komentarz stylistyczny do wersów Słowackiego: „Lub na koronę potrójną Papieża / [...] śmiecie / Gnacie” (*Beniowski*, p. V, w. 520—522). Trzeba zrozumieć i przyjąć, że porządek wypowiedzi poprzez tekst i porządek wypowiedzi o tekście są porządkami różnymi logicznie, aby następnie przyjąć opinię, że wprowadzić i w edytorstwie *contra factum non valet argumentum*, ale nowy fakt nie tylko nie uzasadnia interpretacji, lecz przeciwnie: sam jej jeszcze wymaga. Dopiero kiedy uznamy, że w rdzeniu „sztuki edytorskiej” (ale nie redaktorskiej) tkwi także „sztuka interpretacji” i że nic innego nie jest możliwe (jeśli edytor ma ominąć mielizny szczególnego rodzaju techniczmu), wtedy przestaniemy ten stan rzeczy ubolewająco nazywać ryzykiem i przeciwstawiać (w edytorstwie) metodologizm „perspektyw badawczych” — „aspektowi praktyki”. Praktyka jest terenem, na którym edytor otwiera perspektywy badawcze<sup>21</sup>. Na tym polega jego „sztuka”.

Edytor powinien posługiwać się szeroką definicją literackości, ogarniającą to wszystko, co jest, może być i powinno być przedmiotem wypowiedzi teoretyczno-literackiej, która może się odnosić do zagadnień strukturalnych i stylistycznych prozy naukowej, publicystycznej, pamiętnikarskiej, epistolarnej, a nawet kolokwialnej (zob. JT 81; ZG 17). A zatem czynnikiem rozszerzającym przedmiotowy krąg zainteresowań jest nie tylko pamięć o tym, że przedmiotem edycji może być każdy tekst (JT 81), i nie tylko świadomość historycznej zmienności pojęć literackości i gatunkowości, lecz także aktualna świadomość teoretycznoliteracka (zob. JT 39). W działaniu edytora, kiedy — z kolei — uwzględni się jego nastawienie na typ odbiorcy tekstu opracowywanego edytorsko (więc: nastawienie na typ edycji), rzeczywiście zawile łączą się ze sobą różne funkcje: badawcza (poznawcza), informacyjna, impresyjna (w jej odmianach: wychowawczej i formacyjnej, skoro edytor nie tylko przystosowuje się do typu odbiorcy, ale i kształtuje go w pewnej mierze). Jeśliby przez „eksplikację tekstu” rozumieć tylko te czynności ustalenia tekstu, które sięgają od grafii „zapisu” przez leksykę do stylistyki (JT 36), to w wymiar semantyczny edytor wchodziłby tylko instrumentalnie i marginalnie, a interpretacja byłaby na usługach krytyki niższej tekstu (zob. JT 37). Wydaje się jednak, że i tu powinny dojść do głosu „presje” terminologiczne teorii literatury, która przez eksplikację tekstów rozumie interpretację ich znaczeń (zob. JT 46). I — przed odejściem od zagadnień *Edytorstwa* — zauważmy, że chyba nie ma konieczności wiązania pracy edytorskiej, opartej także na materiale dokumentacyjnym (np. ikonograficznym, epistolarnym, wspomnieniowym), z autorską „współczesnością lub niedawnością” opracowywanego dzieła (JT 11; zob. też 34), gdyż w dokumentację taką bywają wyposażone wydania dzieł autorów dawnych, a nawet bardzo dawnych. Wszystkie tego typu materiały i sposoby stoją np. do dyspozycji edytora-patrologa. Albo: czy problemy edytorskie „wyglądają zupełnie [!] inaczej” przy „zapisach” dawnych niż przy nowszych (JT 37)? Sądziłbym,

<sup>21</sup> JS 14—19, 22. — KG 53, 70—71, 277. — LM 12—13.

że trzon filologiczny problematyki jest w swym rodzaju taki sam (jeśli nie ten sam), ale problemy stają się nieporównanie bardziej skomplikowane (więc i zróżnicowane) wykonawczo i dlatego ich „wygląd” może się przedstawiać jako „zupełnie inny”.

### Tekstologiczny antyteoryzizm

O rzeczywistym nastawieniu tekstologa świadczą nie deklaratywne postulaty rozwijania metodologicznych i teoretycznych podstaw tekstologii (T 8, 18—19), lecz zupełnie inny szereg wypowiedzi, z których okaże się, że w tej dyscyplinie wszystko jest niby w *Panu Tadeuszu*, w którym odległość zamku Horeszków od dworu Soplicowskiego zmienia się zależnie od sytuacji (KG 284). Tekstolog zawsze jest gotów podkreślać, że nie warto tracić czasu na oderwane rozważania (KG 254), które jedynie później przysparzają trudności prawdziwym (!) badaczom (T 55); że przez wnioski wysnute z pracy tekstologicznej często są obalane ogólne koncepcje literaturoznawcze i że same te wnioski stanowią podstawę do uogólnień (T 65; ZG 55—56); że założenia badawcze i normy pękają pod naporem zróżnicowania sytuacji tekstowych i okoliczności (ZG 74); że problemy tekstologiczne powstają w praktyce i przez nią są rozstrzygane (T 19), że zatem tekstolog nie kwapi się do odpowiedzi oderwanych i ogólnych, każdy wypadek rozpatruje z osobna (KG 98—99, 107), sądząc, iż nie jest możliwa ani ogólna teoria koniektur (ZG 52), ani ogólna teoria komentarza edytorskiego (KG 279). Tekstolog, który docieka twórczej woli autora (ZG 79), sam powinien twórczo (!) stosować zasady ogólne, unikając zmechanizowanego trybu postępowania (T 36), pamiętając o potrzebie właściwej (!) miary i taktu wydawcy (KG 101, 266). Skoro czasem ważniejsze od poznania zasad ogólnych jest ustalenie techniki pracy nad konkretnym utworem (KG 226) i skoro nie ma zasad, od których by nie należało niekiedy odstąpić (KG 75), to właśnie brak kategorycznej i uniwersalnej zasady okazuje się zasadą uniwersalną, bo wszelka teoria jest tylko ekstrapolacyjnym i generalizacyjnym uproszczeniem (ZG 48—49). Prymat faktu i materiału (T 55) zabezpiecza przed „statycznym rozważaniem ze stanowiska ogólnych przesłanek teoretycznych” (JT 49), wykluczając wątpliwe twierdzenia kategoryczne (JT 125). Teoria nie gwarantuje poprawności roboty edytorskiej, a rumieńców życia (!) nabiera dopiero dzięki doświadczeniu, które pogłębia jej rozumienie (KG 285). Jak widzimy, tekstolog — niby Norwidowski sztukmistrz — „do końca zachować winien możliwość zupełnego swej kompozycji odmienienia” (cyt. w: KG 29) i wszystko przemawia za tym, że pierwotny termin „sztuka edytorska” był w swej bezpretensjonalności (i pozostał) nieporównanie odpowiedniejszy jako określnik tej dyscypliny praktycznej niż później przyjęty, a wcale nie precyzyjniej stosowany termin „tekstologia”.

Przecież w świetle przedstawionych zapatrywań podstawy tekstologii wcale nie mają być teoretyczne, ale praktyczne — wyraźnie wbrew sporadycznym wzmiankom o „teoretycznych podstawach” (KG 285) i o „teorii tekstologii” (KG 86). Zresztą tekstolog głosi, że „każda teoria jest sumą doświadczeń konkretnych” (KG 51), co jest równie niesłuszne, jak np. to, że środki mnemotechniczne służą zrozumieniu wykładu (JT 90), a równie niewspółczesne, jak np. utożsamianie ekspresji artystycznej z momentem wzruszeniowym, z „treścią uczuciową” (KG 195). Tekstolog jest gotów do prób godzenia sprzecznych zasad „w rozumnym [raczej: przeczonym — S. D.] kompromisie” (KG 265), chociaż skądinąd wie, że „godzić [...] odmiennych zasad niepodobna; trzeba wybierać” (KG 253). Tekstologia filologiczna rozporządza w istocie raczej metodyką niż teorią i metodologią w sensie właściwym. Górski nazywa Bernaysa i Scherera twórcami metodyki edytorstwa

naukowego (KG 207), a Goliński mówi o pragmatyce badań tekstologicznych (ZG 15). Lichaczow wyklucza (tak to nazwijmy) „tekstologię w ogóle” (zob. ZG 45), czego następstwem jest atomizowanie dyscypliny oraz zamykanie teorii ramami literatur narodowych (ZG 29—30 wraz z przypisem 11). To, co Górski nazywa „teoretycznymi zasadami przy ustalaniu tekstu” (KG 114), to przecież praktyczne i z praktyki wywiedzione zalecenia, tak samo jak uwaga, że w odczytaniu cudzego niewyraźnego pisma pomagają długie a nieprzerwane obcowanie z autografem (KG 121). Własną *Sztukę edytorską* Górski określił jako pierwszą polską próbę objęcia i skodyfikowania doświadczeń, próbę sformułowania opinii naukowych opartych na jego własnej praktyce edytorskiej (KG 209). Górski nie widzi trudności ani w „ustalaniu dwóch znaczeń podstawowych” terminu „tekst” (KG 22), ani w tym, że oba są główne (KG 21), ale pierwsze z nich „prymarne i decydujące” (KG 18). Nic więc dziwnego, że analiza doktryny (edytorskiej? tekstologicznej?) odsłania uwikłania, niejasności i niespójności, za które winę ponoszą nawyki tradycyjnie niekrytyczystycznego myślenia (ZG 5, 33). Dokonana przez Golińskiego krytyka wypowiedzi współczesnych edytorów żywo przypomina sytuację współczesnego metodologa wykazującego logiczną bezwartościowość tradycyjnych, ale i dzisiaj jeszcze powtarzanych sposobów rozumowania stosowanych przez neoscholastyków<sup>22</sup>. *Vox, vox praetereaue nihil*” (ZG 85).

Refleksja krytyczna w pracach tekstologicznych pojawia się nader rzadko (ZG 21), postawę tekstologa znamionują: praktycyzm, intuicjonizm, ateoretyczny arbitralizm i „ewidentyzm”; bo on wierzy, że „tam, gdzie jest jednolity i ściśle sprecyzowany cel, nie ma wahań i wątpliwości” w kwestii środków do celu (KG 254); bo nie chodzi o „rygorystyczne podporządkowanie się abstrakcyjnym wskazaniom” (KG 270). Omawiając pracę nad komentarzem, Górski powie bez ogródek: „wskazówki są tak oczywiste, że jest niemal rzeczą krępującą podawać je jako »teorie« pisania komentarza” (KG 279). Bezradność metateoretyczna tekstologów — i to nie docierająca do ich świadomości — jest faktem jeszcze nie zdezaktualizowanym (ZG 51). Ale wobec stanowiska Golińskiego też trzeba wysunąć szereg zastrzeżeń. Eklektyzmowi, subiektywizmowi, illogizmowi (i z nich wynikającemu chaosowi) przeciwstawia on relatywistyczny sceptycyzm socjologii wiedzy, demaskujący w wyborach teoretycznych bezwiedne uleganie „uwarunkowaniom”. Teorie mają wtedy charakter i sens pozamerytoryczny: są symptomami, zastępczymi ekspresjami itp. (ZG 51—52, 98). Edytor ustalając tekst „kanoniczny” dokonywał wyboru. Rozwiązywał i stwarzał problem. A kultura rozwija się przez dokonywanie wyborów. Goliński właściwie po to zastrzega, że każda generacja robi wybory na własny rachunek (ZG 97), by — uwydatniwszy pokoleniową względność wyboru — osłabić przekonanie o jego potrzebie. Na tle tych ujawnień stanowiska zaskakuje postulatorska pewność, z jaką głosi: „Samoświadomość metodologiczna winna towarzyszyć postępowaniu edytora bardziej niż przedstawicielom wybranej metody, których interesować mogą próby badań kierunkowo świadomie ukształtowane. [...] Rozwiązania edytora winny przekroczyć antynomię, jaką w postawie badawczej wyznaczają metody strukturalne i genetyczne” (ZG 95).

Goliński, żądając „przekroczenia antynomi” między wykluczającymi się metodologiami, zamienia edytorowi jeśli nie siekierkę na kijek, to kijek na kijek. Ledwie zdołał (we własnym przekonaniu) wydzwignąć edytora z wilczego dołu antynomii tradycyjnych (krytyka tekstu a wola poety, wola autorska a intencja twórcza, funkcja poznawcza a funkcja społeczna) i wynikającego stąd nieuchron-

<sup>22</sup> Zob. np.: S. Kamiński, M. A. Krąpiec, *Z teorii i metodologii metafizyki*. Cz. 2. Lublin 1962. — Cz. Wojtkiewicz, *O tzw. „definicjach” w metafizyce scholastycznej*. „Roczniki Filozoficzne” 1966, z. 1.

nego eklektyzmu praktyki edytorskiej, a już go wpycha w wykopany przez siebie wilczy dół eklektyzmu metodologicznego. Ledwie obalił mit „tekstu kanonicznego”, a już postuluje utopię metodologicznej nadświadomości, w której się dokona jedność przeciwieństw metodologicznych między genetyzmem a strukturalizmem. Jest w tym coś z monumentalizacji osoby edytora (żywo przypomina to monumentalizację redaktora wydawniczego w *Edytorstwie* Trzynadłowskiego) i coś z paradoksalizacji własnego usiłowania. Czyżby i mnie się powiodło „uchwycenie pewnego tradycjonalizmu w myśleniu nawet najnowszym” (ZG 26)? Bo to Goliński, zamiast poprzestać na zagadnieniach poprawności metodologicznej i teoretycznej, wprowadził pojęcie tradycjonalizmu, siebie oczywiście czyniąc jego przeciwnikiem (ZG 26). Pojęciem korelatywnym jest „nowatorstwo”, „nowoczesność”. W ten sposób opuszcza się teren rzeczowej dyskusji, a przechodzi się na teren sporów prestiżowych, kryteriów wątpliwych, sytuacji dwuznacznych. Czyż sama opozycja „tradycjonalizm—nowatorstwo” nie należy dziś również do „pojęć już anachronicznych, zasiedziałyeh wszakże mocno” (ZG 5), właśnie z powodu swej nikłej operatywności, nikłej informatywności, ale dużej efektywności? Zamiast mówić o tradycjonalizmie (a więc w trybie ujemnej oceny), lepiej byłoby mówić o historycznym charakterze i uwarunkowaniu (!) wszelkiej refleksji (a więc w trybie konstatacyjno-opisowym). Zwłaszcza że Goliński umieszcza tekstologię w ramach historycznej wiedzy o literaturze (ZG 93), i to wyłącznie. Ale to zagadnienie otwiera już następny paragraf naszego artykułu, nie przerywając polemiki z Golińskim.

#### O potrzebie teorii

To Konrad Górski stwierdził, że — acz nie można przesądzać przyszłych dróg tekstologii — trzeba uznać, że „rozbudzona została [...] świadomość wielu trudności dawniej nie dostrzeganych” (KG 210), a Goliński dodał, że dla ciągle się jeszcze rodzącej tekstologii (ZG 13) szukać trzeba innego punktu wyjścia (ZG 17). Niechże więc „zrozumienie tej problematyki stopniowo toruje sobie drogę” (KG 254). Słowa „tekstologia” i „filologia” nie są zbudowane w sposób taki sam, ale też i z faktu, że terminy „krytyka tekstu” i „krytyka literacka” zbudowano „równolegle” (ZG 31), wynika (jak dotąd) niewiele; nawet dla Golińskiego. Terminowi „tekstologia” bynajmniej jej przedstawiciele nie przypisali znaczenia analogicznie do sposobu, w jaki znaczenia przypisano terminom „genologia” i „wersologia”. Genologia to teoretyczna, koncepcyjna refleksja nad gatunkami literackimi (teoria gatunków literackich), wersologia to (podobnie) teoria wiersza. W obu tych dyscyplinach teksty utworów pełnią funkcję dokumentacyjną, motywacyjną, przykładową, a wiedza układa się w system. Tymczasem w tekstologii widzi się nie teorię tekstu, lecz praktykę badania konkretnego tekstu lub zbioru tekstów. Przedmiotem zainteresowania jest tu, każdorazowo, dany tekst jako indywidualny fakt kulturowy. Tekstologia jest najpierw faktografią, a potem faktograficzną narracją. Dla genologii i wersologii role takie nie są po prostu możliwe.

Sprostowawszy, że od dyscyplin naukowych wymagamy spójności teoretycznej, a nie praktycznej (wbrew ZG 27), spytajmy, czego brakuje tekstologii do owej spójności. Bo jak dotąd, jest to „nazwa utarta, choć nieścista” — jak powiedział Trzynadłowski o terminie „wydawnictwo źródłowe” (JT 80). Brakuje jej oczywiście skupienia na teorii tekstu, gdyż tekstologia obecna rozporządza raczej opisowymi charakterystykami tekstu niż jego teorią. Można by przywrócić do łask termin „edytorstwo”, a tekstologię utożsamić z teorią tekstu (jak wersologię utożsamiono z teorią wiersza). Skoro teoria informacji nie zajmuje się tą oto informacją, teoria dzieła literackiego — tym oto dziełem, to i teoria tekstu musiałaby się oderwać od tekstu indywidualnego. Już by wtedy nie dało się powie-

dzieć, że dwa różne sposoby rozumienia porządku epilogu *Pana Tadeusza* to „dwie koncepcje tekstologiczne” (KG 114); natomiast samą tekstologię można by zaliczyć do metanauki o literaturze (ZG 135). Mistrzostwo Kleinerera byłoby mistrzostwem edytorskim — gdy rozważamy np. jego inicjatywy koniekturalne (ZG 129—131), a tekstologicznym — gdybyśmy odnieśli się z uznaniem do jego teorii tekstu, którą zawarł jednak w pracach teoretycznoliterackich. „Zapis — przekaz — tekst — dzieło” trzeba by nazwać podstawowymi elementami: albo problematyki tekstologicznej, albo sytuacji tekstowej, ale nie „sytuacji tekstologicznej” (ZG 22). Nie można gruntownej wiedzy o pojedynczym przedmiocie (nawet wiedzy apraktycznej) nazywać teoretyczną. Świadomość metodologiczna nie dopuszcza mówienia o teorii pojedynczego przedmiotu. Można mieć pomysł tłumaczenia pojedynczego zjawiska, oparty na jakiejś teorii zjawisk pewnego typu, ale nie teorię tego zjawiska<sup>23</sup>. Zadania poznawcze i zadania teoretyczne nie są tożsame.

Definicja tekstu zależy od definicji dzieła literackiego — powie Goliński (ZG 91). Opinia ta jest łatwa do zakwestionowania (bo np. jej odwrotność też zachowuje sens), ale dla mnie znamienne jest to, że nie spostrzegł, iż ustaliwszy prymat momentu teoretycznego (teoretycznoliterackiego) w definicji tekstu, powinien był (może: tym bardziej) ustalić prymat tego momentu w definicji samej tekstologii (definicja jest elementarnym komponentem teorii), w której — jednak — przyznał prymat momentowi historycznemu. Chociaż uznaje potrzebę „uogólnień o pojemności uniwersalnej” (ZG 93), to jednak sądzi, że w kompetencjach badacza (tekstologa?) nie leży „powoływanie bytów idealnych” (ZG 98); poniekąd słusznie, gdyż nauki historyczne nie są naukami teoretycznymi, lecz — każda teoria i każdy model zawierają w sobie moment „idealizacji” (JT 80). Uwikłanie między historyzmem a teoretyzmem (niemożność wyboru!) przejawia się np. w sprzecznym wewnętrznie wyrażeniu o „jednorodnych zjawiskach w ich historycznej zmienności” (ZG 93). Próba „rozumnego kompromisu”.

Nie decydując się na uznanie teoretycznego charakteru tekstologii, Goliński nie odchodzi zbyt daleko od edytora fetyszysty i pietysty (ZG 76—78), gdyż, po pierwsze, właściwie nie wykracza poza „minimalizm założeń poznawczych leżących u podstaw założeń badawczych edytora” (ZG 76), po drugie zaś, edytorowi — jako filologowi — nie były z kolei obce zagadnienia ujęć historycznych. Samo odniesienie tekstologii do „historycznej nauki o literaturze” wyzbyte jest konsekwencji, bo jednym tchem uznano tekstologię za „gałąź”, za „wycinek” (dział?) tej nauki i za jej „naukę pomocniczą” (przykładowo wspomniana bibliografia jest „nauką pomocniczą” każdej nauki, ale działem jest raczej bibliologii niż historii literatury; ZG 26, 53). Osobliwe jest u Golińskiego jednoczesne uhistorycznianie tekstologii i (jakby wyrażające niechęć) bagatelizowanie filologiczności (czy samej filologicznej genezy?) tekstologii, które przecież nie musiało towarzyszyć melioracyjnym próbom metodologicznym. W tym, co urągliwie określono jako irracjonalny pietyzm i fetyszyzowanie, skupiło się sporo spraw zasługujących raczej na ochronę: zasady gruntowności, rzetelności, dokumentalności postępowania poznawczego; empiryczny w swym charakterze, ale nieustępliwy krytycyzm, który powodował, że nie było tak znakomitej edycji, by inni badacze nie zgłosili do niej wykazów własnych zastrzeżeń, stwarzając jakby stan zbiorowego czuwania nad jakością opracowań tekstu (kategoria *editionis ne varietur* pełniła rolę idealnego modelu-postulatu i eliminowanie go — a nie korygowanie — przez Golińskiego ma sens regresywny); wreszcie i styl (i klimat) humanistyczny, który zastąpić można tylko technicystycznym operacjonizmem.

<sup>23</sup> J. Pieter (*Krytyka dzieł twórczych*, Katowice 1948, s. 38) dopuszcza myśl o „teorii dzieła pojedynczego”.

W kulturze i w naukach humanistycznych bardzo wiele pozostało jeszcze filologicznego „spoiwa”. Wszystkie nowsze i najnowsze sposoby postępowania z tekstem i utworem powstały na przedłużeniu tych typów działań, które się składały na filologiczny — posiadający wewnętrzną motywację i porządek — polimetodyzm. To z niego wyrosła historia literatury, z jego kanonu, a nie on z niej (wbrew ZG 35). Zonglerkę terminem „filologia” można „tępić” (ZG 42), samej filologii nie „tępiąc”<sup>24</sup>.

W podręczniku Filipa Trzaski czytamy: „Do odlewania czcionek Gutenberg sporządzał najpierw stemple, czyli tzw. **patryce**, z metalu twardszego, i dopiero za ich pośrednictwem odciskał **matryce** w metalu bardziej miękkim. Czcionki odlewał następnie z matrycy” (FT 22, podkreśl. S.D.). Otóż stosunek tekstologii, jako teorii tekstu, do edytorstwa, jako krytyki tekstu, powinien przypominać (powiedzmy obrazowo, ale wyraziście) stosunek patrycy do matrycy. Dla edytorstwa tekstologia to „patryca” generalnych założeń koncepcyjnych, zbiór wypowiedzi pretendujących do rangi sądów teoretycznych, pozwalających edytorstwu i na ład terminologiczny, i na określenie granic wewnętrznych, i na uprecyźnianie opisu edytorskiego. Ale tak rozumiana tekstologia mogłaby się okazać logicznie wcześniejsza i od edytorstwa, i od nauki o literaturze, co dość zasadniczo zmieniałoby rodzaj i kierunki zależności pomiędzy tymi trzema dziedzinami. W każdym razie opinia Lichaczowa, że „jedynie poprzez analizę rękopisu można dojść do pewnych wniosków w dziedzinie poetyki teoretycznej i języka” (T 72), stawia na głowie metodologiczny porządek rzeczy, bo każda nauka powinna startować „ze stanowiska ogólnych przesłanek teoretycznych” (JT 49). Ujednoznaczenie użyć terminu „tekstologia” można by osiągnąć albo przez wprowadzenie terminów rodzajowych dookreślających: tekstologia historyczna (empiryczna), tekstologia teoretyczna (spekulatywna), albo przez nawiązujące do uwag Górskiego (KG 22) reaktywowanie dla „tekstologii historycznej” filologicznego terminu „krytyka (i historia?) tekstu” i utożsamienie terminologiczne tekstologii z teorią tekstu. Wtedy stosunek między „krytyką i historią tekstu” a „teorią tekstu” przypominałby wzajemny stosunek działów wiedzy o literaturze: krytyki, historii i teorii<sup>25</sup>.

Zagadnienie tekstologiczne w znaczeniu nie-Lichaczowowskim porusza — tylko w trybie referującym i nie wyczerpująco — Trzynadłowski w pierwszym rozdziale *Edytorstwa*. Wydaje się, że — rozwijając własną refleksję teoretyczną na temat „paraliteratury” — nie dokonał wyraźnego wyboru (ani nie opisał wzajemnego stosunku) w zakresie zreferowanych „równoległe” teorii tekstu (aczkoby to, co mówi o „tekście w sensie pragmatycznym”, jest chyba jego własną próbą). Uniemożliwił to podręcznikowy charakter książki.

Na jeden jeszcze chcę wskazać moment unaoczniony przez całość mojej pracy przeglądowej. Postuluje się, żeby: 1) tekstolog był zarazem historykiem literatury, 2) edytor — tekstologiem, 3) wydawca — edytorem, 4) redaktor — wydawcą, itp. Są to postulaty wysuwane rozłącznie (sam wysunąłem jeden z nich) przez różnych

<sup>24</sup> Zob.: ZG 13, 38, 41—42, 54. — LM 8. — JS 10. — JT 17, 19, 23. — Odnotowane przez Trzynadłowskiego (18) powiedzenie: „Filolog odkłada pióro, gdy staje przed arcydziełem”, ignoruje fakt, że filolog nie tylko nie odkładał pióra wobec dzieła Homerowego, które zawsze uznawał za koronę arcydzieł, ale właśnie nad tym dziełem pióro najofiarniej mozolił.

<sup>25</sup> W sprawach dotyczących całości wywodów tego akapitu: KG 22, 194. — ZG 5, 7, 10, 13—14. — Kiedy Goliński (14) mówi: „tekstologia opisowa”, nie wiadomo, jaka para opozycyjna wyznacza sens terminu „opisowa”; czy opozycja „opisowe” — „teoretyczne”, czy „opisowe” — „historyczne” (por.: poetyka opisowa i poetyka historyczna).

autorów. Każdemu z autorów jego postulat wydaje się nie tylko do przyjęcia, ale nawet zostaje przedstawiony jako dyktowany przez nową rzeczywistość kultury. Tymczasem dla zewnętrznego obserwatora wystąpienie postulatorów (i na tym polega jego użyteczność) ich postulaty układają się w łańcuch (nie zamierzony), właściwie techniką „domina”, i jako taki łańcuch zdradza dopiero swoją oczywistą niewykonalność. Reżim niewykonalnych postulatów niekiedy sprzyja wysokiej jakości pracy (np. postulat wydania *ne varietur*), ale też często sprzyja (i to przed tym przestrzegam) mnożeniu się fikcyjnych stanów rzeczy, deklarowanych jako spełnienie postulatów. To m. in. usiłowałem tutaj unaocznic.

*Stanisław Dąbrowski*